Beatyfikacja ks. Michaela J. McGivneya

Katedra św. Józefa, Hartford w stanie Connecticut

31 października 2020 roku

1) Księga Izajasza 58, 6-11

2) Psalm 110

3) List do Efezjan 4, 1-7, 11-13

4) Ewangelia wg św. Mateusza 5, 1-12

Moi drodzy bracia i siostry w Chrystusie

List do Hebrajczyków jest skierowany do wspólnoty przeżywającej kryzys. Autor natchniony nazywa go „słowem zachęty” skierowanym do chrześcijan, którym grozi opuszczenie wiary. To zagrożenie nie wynikało z żadnego prześladowania ze strony innych, ale ze znużenia wymogami chrześcijańskiego życia i z rosnącej obojętności na powołanie.

List zwraca uwagę cierpiącej wspólnoty na wiele powodów, dla których jej członkowie powinni wytrwać we wspólnej pielgrzymce ku ojczyźnie niebieskiej. Autor przypomina im, że istotnie, mają dookoła siebie „mnóstwo świadków”, którzy zapewniają ich, że trudy ludzkiego życia mają znaczenie, gdy są przyjęte jako Boże karcenie i jeżeli chrześcijanie wytrwają w wierności słowu, któremu uwierzyli, mogą być pewni, że otrzymają niewzruszone królestwo Boga (Hbr 12,14-29).

W swojej pięknej refleksji o świętości papież Franciszek decyduje się wymienić kilkoro spośród tych świadków: „Abraham, Sara, Mojżesz, Gedeon i inni”. Dziś w imieniu Kościoła papież Franciszek uznaje jeszcze jednego: młodzieńcze, radosne oblicze duszpasterza – księdza Michaela McGivneya.

Ojciec Święty prosi nas przede wszystkim o to, byśmy zauważyli wierność Boga wobec Kościoła. Uznając świętość życia księdza McGivneya zauważamy znaki opatrznościowej troski Boga, które pojawiają się w samą porę i które przemawiają osobiście do każdego z nas. Syn imigrantów, który poświęcił swoje życie posłudze duszpasterskiej na rzecz tych, którzy niedawno przybyli do tego kraju; najstarszy z trzynaściorga rodzeństwa, który pracował, by rodziny pozostawały jednością pewne swojej godności i bezpieczeństwa; apostoł, który troszczył się o ofiary pandemii, zanim sam zmarł zarażony chorobą. Wzór świętości, którą potwierdził cud nienarodzonego dziecka uzdrowionego *in utero* ze śmiertelnej choroby, która objęła już wiele jego narządów, który to cud wydarzył się, gdy rodzina dziecka zwróciła się w modlitwie do ks. McGivneya. Chwalimy Boga za stosowność pory tego święta, za to, że 130 lat po śmierci ks. McGivneya krótkie życie tego świętego człowieka tak wymownie dotyka naszych dróg ku świętości.

Powinniśmy nasłuchiwać, ponieważ Jezus wzywa każdego z nas do świętości, do tego byśmy byli „doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5,48), byśmy byli „miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny” (Łk 6, 36). Sobór Watykański Drugi podkreślił ponownie owo powszechne powołanie do świętości, przypominając Kościołowi, że „ wszyscy wierni chrześcijanie jakiejkolwiek sytuacji życiowej oraz stanu powołani są przez Pana, każdy na właściwej sobie drodze, do świętości doskonałej, jak i sam Ojciec doskonały jest” (LG 11).

***Każdy i każda na właściwej sobie drodze***... dwa stulecia przed Soborem św. Alfons Liguori napisał, że Bóg chce, by wszyscy byli świętymi, *każdy według swojego stanu: duchowni jako duchowni, świeccy jako świeccy, księża jako księża, małżonkowie jako małżonkowie, przedsiębiorcy jako przedsiębiorcy, żołnierze jako żołnierze i tak wszystkie stany (...)” (Umiłowanie Jezusa Chrystusa w życiu codziennym, IV, II)*. Z pewnością życie księdza McGivneya może dodać otuchy każdemu z nas, ale najbardziej tym, którzy są wezwani do świętości jako proboszczowie.

Parafia ma być „Kościołem zamieszkującym pośród swych synów i córek” *(Christifedeles Laici 26*). Papież Franciszek naucza, że parafia zachowuje swoje znaczenie jako narzędzie Ewangelii, jeżeli „utrzymuje kontakt z rodzinami i z życiem ludu” (*Evangelii Gaudium 28*). Życie księdza McGivneya jest ilustracją tego niezwykle bliskiego kontaktu kapłana z rodzinami i życiem swoich parafian.

Jego formacja w praktyce duszpasterskiej rozpoczęła się już w silnie wierzącej rodzinie, która zadbała o jego wzrastanie w łasce, kształtując atmosferę, w której on i dwóch jego braci mogło usłyszeć powołanie, by służyć Panu w kapłaństwie. Chociaż był doskonałym uczniem, zanim jeszcze otworzył książkę do teologii, pracował w fabryce, gdzie na własne oczy zobaczył trudności, z jakimi mierzyli się jego współpracownicy. Jako duszpasterz mógł zatem „pachnieć owcami”.

Wiedział, jaki jest podstawowy i nieodzowny wymóg wobec księdza: kochał swoich wiernych. Jeden z jego biografów z wielkim uczuciem napisał:

**Kochał swoich parafian. Jedyną rzeczą, którą lubił bardziej niż pracę z nimi nad wielkimi planami i projektami, było wycofywanie się i przyglądanie się temu, jak pracują razem kierowani światłem Chrystusa.** (PP, 195)

 Ksiądz McGivney potrafił przewodzić ludziom, stojąc za nimi i bez potrzeby wywyższania siebie. Cieszyło go ich towarzystwo, organizował działania, które kształtowały wspólnotę. Był z nimi w ich smutkach, w czasach śmierci i żałoby. Uświęcało go to, co księża w parafii nadal robią każdego dnia.

Jego „parafia” nigdy nie ograniczała się do nazwisk wpisanych w parafialnych księgach. Nie obce mu były więzienia i szpitale. Pielęgnował pełne szacunku relacje z innymi wspólnotami chrześcijańskimi i przedstawicielami władz państwowych. Był budowniczym mostów i stronił od murów.

Nawet jego sztandarowe osiągnięcie, jakim było założenie Rycerzy Kolumba, wyrosło z jego parafialnej posługi. Ponieważ tak dobrze znał swoich parafian, czuł wielką potrzebę, by pomóc mężczyznom troszczyć się o swoje rodziny i zapewnić im byt na wypadek swojej śmierci. Choć nie była to tradycyjna grupa parafialna, Rycerze byli istotnie złączeni z Ciałem Chrystusa. Wielka bratnia organizacja 2 milionów mężczyzn, która dziś obejmuje cały świat, zrodziła się z genialnej odpowiedzi proboszcza na dwa bliźniacze wyzwania, z którymi mierzyli się ludzie, którym służył.

Podobnie jak gorliwość każdego dobrego duszpasterza, także zapał ks. McGivneya miał swoją cenę. Bliskość wobec ludzi nie izolowała go od bliskiego dzielenia z nimi również cierpień. Niczym Jezus, szlochał razem z nimi. Jego żal z powodu zbliżającej się egzekucji przyjaciela, Chipa Smitha, sprawił, że sam skazany musiał go pocieszać. Na długo przed dniem, w którym jego wycieńczone ciało poddało się chorobie, umierał każdego dnia dla swoich własnych pragnień, aby móc ofiarować swoje życie swoim przyjaciołom. Tak jak jego Mistrz.

Jak dobrym jest Bóg, który dał nam błogosławionego Michaela McGivneya w tym czasie naszej wspólnej pielgrzymki. Jego oblicze widoczne jest pośród „mnóstwa świadków”, którzy przynaglają nas w tej drodze. Postać błogosławionego Michaela pokazuje nam, że życie to nie przedmiot transakcji, ale dar, którym należy się dzielić. Uznajemy, że prawdziwa cześć koncentruje się na właściwej relacji z Bogiem i drugim człowiekiem, szczególnie z tym, który jest na marginesie społeczeństwa oraz że chrześcijańska jedność jest czymś więcej niż tylko przylgnięciem do wspólnych przekonań. Przyjmujemy, że Bóg tak jak powołał ks. McGivneya, tak też powołuje każdego z nas – we właściwym nam czasie i we właściwy nam sposób – byśmy byli narzędziami miłosierdzia i w ten sposób okazali się godnymi niebiańskiego dziedzictwa.